

Prolog

1

Panie Bouillier,
popęłiłam błąd, zgadzając się na spotkanie z Panem.

Upłynęło od niego kilka dni i pragnę Pana poinformować, że stanowczo sprzeciwiam się Pańskiemu projektowi związanemu z książką o mojej Babci.

Zwierzył mi się Pan z „niewytłumaczalnej pasji”, jaką wzbudza w Panu jej historia. To Pański problem. Ja z kolei nie potrafię sobie wytłumaczyć Pańskiej nieustępliwości i niezwykle natrętnych dociekań, jakie prowadził Pan w sprawie mojej Babci z myślą o swojej książce. Takie postępowanie uważam za szokujące i zupełnie nie na miejscu.

Niniejszym wyrażam więc kategoryczny sprzeciw wobec książki, w której opisałby Pan moją Babcie lub jakiegokolwiek innego członka mojej Rodziny.

Jestem pewna, że uszanuje Pan moją Decyzję.

Nie wątpię, że znajdzie Pan inne zagadnienie, które pozwoli Panu zrobić użytek ze swoich literackich talentów i w które zainwestuje Pan swoje „niewytłumaczalne pasje”.

Z pozdrowieniami

Mejl był podpisany... (tutaj spółgłoska, później samogłoska)

Był podpisany... (grzmiące werble)

Czy odważę się to powiedzieć? Podejmę ryzyko? Stawię czoła niebezpieczeństwu?

Skoro wiem, że ta decyzja nieodwołalnie zmieni wszystko, co odtąd napiszę.

Skoro wiem, że nie chodzi wyłącznie o książkę, która powstanie, ale też o całe społeczeństwo.

Oto sprawa, która wykracza daleko poza mój osobisty przypadek, mimo że jestem w nią zamieszany w największym możliwym stopniu.

2

Co robić?

Przeczytałem mejl ponownie.

Na ekranie komputera wydawał mi się złośliwą bestią.

Była dwudziesta dwadzieścia sześć, wtorek 11 stycznia 2022 roku.

Właśnie skończyłem jeść kolację. (W menu tamtego wieczoru: zestaw opisany jako „łosoś ze szczawiem w towarzystwie purée ziemniaczanego”).

W telewizorze, który mrugał do mnie z kąta, właśnie dobiegały końca wiadomości o dwudziestej, pokazywano wspaniałe widoki z Appalachów (poprzedniego dnia były wspaniałe widoki z Andaluzji, a jeszcze wcześniej wspaniałe widoki z francuskiego wybrzeża). Widoki o tyleż wspanialsze, ekscytował się komentator, że z powodu pandemii koronawirusa żaden turysta nie kała ich wspaniałości, i mniejsza z tym, że przed dziesięcioma minutami inny reportaż długo rozwodził się nad bolączkami przedstawicieli branży turystycznej, w których kryzys epidemiologiczny uderzył z pełną mocą. To właśnie nazywamy sprzecznościami kapitalizmu, a może się myłę?

A teraz ten mejl!

Dobry Boże, nie miałem ochoty pisać fikcji literackiej, nawet „inspirowanej prawdziwymi wydarzeniami”.

A tym bardziej zostać przymuszonym do jej napisania.

To nie miało najmniejszego sensu!

Rzeczywistość sama w sobie jest konstruktem, jest fikcją, więc jej „fikcjonalizowanie” to absurd.

To zniszczenie tego, co najlepsze.

Już lepiej napisać dzieło będące w całości wytworem wyobraźni.

Istnieje wiele doskonałych tytułów z tego gatunku.

A więc nie!

Nie chciałem rezygnować z opisywania wydarzeń takimi, jakimi rozegrały się przed trzydziestoma pięcioma laty w osiemnastej dzielnicy Paryża. Nie chciałem ich fałszować. To oznaczałoby zdradę. Tymczasem czułem, że mam wobec nich pewien obowiązek. Choć w całej historii zostało kilka upartych białych plam, wypełnienie ich byłoby oszustwem. Jakby próbować na siłę łączyć puzzle, których kształty do siebie nie pasują. Jakby spiłować tygrysowi pazury.

Przecież nie miałem złych intencji.

Absolutnie żadnych!

Wszystkie moje emocje były pozytywne.

Pełne uważności.

To się liczyło, prawda?

Czego ona się bała? Że co takiego napiszę o jej Babci i Rodzinie (tylko wielką literą, proszę)?

Jaka obawa kryła się za jej Decyzją (tu również wielka litera)?

Sprzeciw wobec czego za jej Sprzeciwem?

Czy przez cztery godziny nie opowiadała mi rozwlekle o swojej babci podczas spotkania w kawiarni nieopodal porte des Lilas, którą sama wybrała? Czy nie dostarczyła mi pewnych informacji, które w ostatecznym rozrachunku jedynie potwierdziły to, co już mniej więcej wiedziałem? Na początku z pewnością była nieufna, zaniepokojona faktem, że interesuję się tą historią, która dotyczyła wprawdzie członkini jej rodziny, lecz pochodziła przecież sprzed niemal czterech dekad. Zdawało się jednak, że powoli się odprężyła, jej twarz pięknej kobiety po pięćdziesiątce, idealnie blondwłosej i eleganckiej, wygładziła się, nawet jej ciało – filigranowe i nerwowe – sprawiało wrażenie, jakby się rozluźniło, na tyle, że wprost spytała, czy „nie była wobec mnie zbyt szorstka”. Ależ skąd, odparłem. Rozumiałem, dlaczego zaczęła od defensywy. Rzeczywiście dziwne i niepokojące musiało wydać jej się to, że jakiś nieznajomy chce napisać książkę o jej babci. Kim byłem, by wtrącać się w historię jej rodziny? Stąpałem po kruchym lodzie. Mogła mi jednak zaufać: nie chciałem nikogo zranić. Wręcz przeciwnie. Chodziło o osiągnięcie zupełnie odwrotnego efektu. Pragnąłem jedynie zrozumieć, co się wydarzyło. Z powodu, którego sam nie potrafiłem wyjaśnić, musiałem się tego dowiedzieć.

W pewnym momencie poprosiła, bym przesłał jej dokument, w którego byłem posiadaniu, a o którego istnieniu wcześniej nie wiedziała, co zrobiłem zaraz po powrocie do domu.

A trzy dni później wysłała mi ten mejl.

Dlaczego?

Jednak to nie ona była moim tematem. Nieszczerólnie zależało mi na rozmowie z nią. Nie była swoją babcią. W żadnym razie nie znajdowała się w centrum tej opowieści. Od prawdy dzieliły ją dwa pokolenia. A to, że należymy do rodziny, nie znaczy wcale, że wiemy, co się w niej wydarzyło. Kusi mnie nawet, by stwierdzić: wręcz przeciwnie. Gdybym miał sądzić na podstawie własnych doświadczeń.

Co więcej, ta kobieta prawie nie знаła swojej babci, była za młoda, gdy tamta umarła.

Dlaczego?
Próbowałem postawić się na jej miejscu.
A gdyby chodziło o moją babcię?
Gdyby po trzydziestu siedmiu latach jakiś pisarz o cielejącym spojrzeniu
oznajmił mi, że zamierza napisać o niej książkę?
Zmącić wodę.
Na nowo otworzyć rany.
Wykopać trupy.
Poskładać słowa, tak jak się nawleka perły.
Tak jak się pluje w powietrze.
Sprofanować ciszę.
Zbić kasę na jej historii.
Na tym cierpieniu.
Które nie należy do niego.
Co bym powiedział?
No?
Powiedziałbym, że to zależy od pisarza.
Powiedziałbym, że to zależy od książki.

3

Przecież nie dam się zastraszyć!

Nie utrzymywałem, że literatura pozostaje całkowicie bezkarna (ten ba-
nał neguje istnienie jej przekłętą wycinka), uważałem jednak, że zawie-
ra pewną dozę ryzyka, które jest w nią z natury wpisane i które w pewien
sposób ją usprawiedliwia.

Uważałem, że wnuczka nie jest babcią, ta zaś zasługuje, by ktoś
poświęcił jej książkę.

Słowo „zasługiwać” napęla mnie smutkiem, ale o to tutaj chodzi.

I co? To, co nazywamy rzeczywistością, jest moim mistrzem w dziedzinie
literatury, zawsze nim było, i w wieku sześćdziesięciu lat nie zaczę przecież
służyć innemu bogu.

Ostatecznie, uznałem, ten mejl wraz ze wszystkimi pytaniami, które
w nim padły, z tą masą uczuć i grózb, stanowi element całej historii.

Powinien wręcz znaleźć się na początku książki, uznałem.

Dobry pomysł, uznałem.

Albo bardzo zły, pomyślałem.
 Zapaliłem papierosa.
 Co by się stało, gdybym jednak ciągnął temat?
 Gdybym mimo wszystko podał imię i nazwisko widniejące u dołu mejla?
 Czyli: „Wolności, gdybym napisał twoje imię”*.
 Co się stanie, jeśli ujawnię prawdę?
 Jeśli będę się trzymał faktów?
 Jeśli powiem, jak jest?
 Jeśli będę się upierał, by nazywać rzeczy po imieniu?
 Jakie sankcje?
 Czy tu powinno paść słowo „proces”?
 Czy moja książka zostanie zakazana, ocenzurowana, wysłana na przemiał,
 spalona na placu miejskim?
 Czy zajmą mój majątek?
 Będą mnie nękać w mediach społecznościowych?
 Czy powinienem się spodziewać, że ktoś pod moim własnym domem
 poderżnie mi gardło tasakiem?
 Chwyciłem za telefon, by zadzwonić do mojej wydawczynie. Wolałem nie
 przedłużać tej niepewności. Czułem natychmiastową, przemożną potrzebę
 dowiedzenia się, co wolno mi napisać, a czego nie (i już samo sformułowa-
 nie tego pytania łamało mi serce). Co z tego, że będę zawracać jej głowę po
 godzinach. Nie obrazi się. Nie ona.

– Skontaktuję się z działem prawnym. – Takiej odpowiedzi udzieliła, oceniwszy wagę problemu. – Z tymi sprawami nie ma żartów, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. Ale ma pan moje pełne wsparcie.

Miło było to usłyszeć.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę. O literaturze, o naszej epoce, o ludziach, o tym, że współcześnie znaleźliśmy się na drodze do zatracenia, o artykułach 9 kodeksu cywilnego i 226–15, ustęp 2, kodeksu karnego, które chronią prywatność jednostek i prowadzonych przez nie rozmów, o radykalizacji uczuć i kulturze urazy, o tym, że prawnicy stają się nowymi arbitrami

* Aluzja do wiersza Paula Eluarda *J'écris ton nom, Liberté* (Wolności, piszę twoje imię) (przyp. tłum.).

w sprawach literatury, o powieści jako córce cenzury udającej jedynie matkę wszelkich wolności, i dalej w tym tonie.

– Wie pani co? – gorączkowałem się do aparatu. – *Don't worry!* Zostanę magikiem jak tyłu innych przede mną! O tak, zmienię rzeczywistość w fikcję, a potem będę udawał, że ujawniłem prawdę jeszcze prawdziwszą. Jak z tymi prozkami do prania, które czynią białe jeszcze bielszym. Łapie pani?

4

Dwa dni później wydawczyni przekazała mi mejl otrzymany od działu prawnego.

Droga Alix,

tak, można pisać o babci i podać jej nazwisko. Prawo do ochrony prywatności to prawo osobiste, które wygasa w chwili śmierci.

Natomiast dzieci i wnuków, a także innych bliskich z zasady nie wolno wspomnieć bez ich zgody.

Niezależnie od okoliczności unika się również wzmianek o nieletnich.

I wreszcie, z racji tego, że dokumenty nie zostały nigdzie opublikowane, nie wolno nam ich rozpowszechniać – a nawet cytować ustępów, ponieważ przepisy dotyczące wolności cytowania wyraźnie wykluczają teksty niepublikowane – chyba że uzyskamy zgodę spadkobierców.

Powyższe ograniczenia pozostawiają Twojemu autorowi bardzo wąskie pole manewru.

Serdeczności

Inès

„Powyższe ograniczenia pozostawiają Twojemu autorowi bardzo wąskie pole manewru”.

No co ty powiesz!

A zatem wszystkie książki, które się ukazują, pisane są wewnątrz jakiegoś „pola manewru”.

Wszystkie co do jednej!

Dobrze wiedzieć.

Nigdy nie patrzyłem na literaturę pod tym kątem.

Zanim otworzy się jakąś pozycję, trzeba mieć w głowie, że nie jest to wcale przestrzeń wolności, jak zwykliśmy sobie wyobrażać.

[REDACTED] (Tutaj wiązanka przekleństw).

„Wszystko zaczyna się od zakłócenia” – pisał gdzieś Paul Valéry, którego swoją drogą niewiele czytałem.

5

Niedługo później wybrałem się po paczkę doręczoną do punktu odbioru niedaleko mojego domu, na ulicy Roberta Lindeta (mogę podać nazwę ulicy czy Robert Lindet też wyśle mi pismo z pogroźkami?). Wraz z kilkoma innymi osobami czekaliśmy w kolejce na chodniku, wszyscy w maskach ochronnych, gdy nagle pojawia się przechodzień, biały facet około pięćdziesiątki, dość wysoki, ubrany w zieloną kurtkę i bez maski; zbliża się, dociera na naszą wysokość i oto, co mówi jasnym i spokojnym głosem, niemal słodkim, a w każdym razie pozbawionym wszelkiej agresji, na tyle jednak donośnym, by usłyszeli go stojący w ogonku ludzie, tak, otóż mówi:

– Nie znoszę Rodzin Francji.

Ach tak?

Dobrze wiedzieć.

Jeszcze jeden biedny gość, który mówi do siebie na ulicy.

Jedna z niezliczonych ofiar obecnych czasów.

Co to takiego te Rodziny Francji?

Coś takiego w ogóle istnieje?

Pewnie jakaś organizacja katolicka.

Gdy facet nas mija, wszyscy odsuwają się przezornie, a on – wciąż donośnie, spokojnym i słodkim głosem, nie spoglądając na nas, lecz patrząc prosto przed siebie – oznajmia:

– Nie znoszę Rodzin Francji... i wszystkich was pozabijamy.

Wszystkich was pozabijamy!

Właśnie to mówi, spokojnym i słodkim głosem, mijając nas z opanowaniem, nie spoglądając na nas, patrząc prosto przed siebie.

W s z y s t k i c h w a s p o z a b i j a m y !

A więc właśnie w czymś takim tkwimy?

W impasie przemocy?

W tej przerażającej mimetycznej zarazie?

Rok wcześniej pewnemu profesorowi poderżnięto gardło tuż przed jego uczelnią.

A wcześniej księdzu w jego kościele.

A przed nim wielu innym.

Jak ktoś (René Girard) kiedyś mawiał: „Przemoc jest bardziej zaraźliwa od wirusa”.

I nie istnieje nic poza przemocą.

We współczesnym powietrzu rozprzestrzeniają się niezliczone wirusy powodujące choroby.

Wirusy, na które każdy z nas jest narażony, a których nie powstrzyma żadna szczepionka.

Wirusy, które można nawet otrzymać drogą mejlową.

W pierwszej chwili prawie za nim pobiegłem. Co on powiedział? Wszystkich was pozabijamy? Jacy „my”? Naprawdę czułem, jak elektryzuje mnie gniew.

Tamten już się jednak oddalił, wciąż szedł spokojnym krokiem, jakby nie odezwał się ani słowem, jakby nie groził nam wszystkim śmiercią, jakby to był tylko zły sen, a słowa nic nie oznaczały. Jakby był jedynie zieloną kurtką z osobą w środku. Wędrownym sarkazmem.

Gdyby się odwrócił, pewnie spróbowałbym coś zrobić, choć teraz zadaję sobie pytanie co takiego.

Po powrocie do domu sprawdziłem: Rodziny Francji to stowarzyszenie, które od 1908 roku broni rodzin wielodzietnych.

Brakuje tylko, by i ono wytoczyło mi proces, bo ośmieliłem się o nim wspomnieć.

Brakuje tylko, by nic już nie było wolno powiedzieć o rzeczywistości – to ona jest fikcją, która w coraz większym stopniu ogranicza się do swoich najwstrętniejszych przejawów. Do najbardziej fantastycznych przejawów swojej inwencji. Jej wyobraźnia znacznie przewyższa naszą.

Ale sza.

Sza?

„Coś zaczyna nas interesować, dopiero gdy to utracimy”
– Darian Leader, *Co sztuka skrywa przed naszym wzrokiem*

1

Panie Baltimore,
minęło kilka dni od naszego spotkania.

Spotkania, na które przystałam w jednym tylko celu, by się przekonać, co z Pana za człowiek, i nie dałam się Zwieść.

Sądził Pan, że jestem dość głupia, by uwierzyć w tę Pańską historyjkę o książce? Proszę przekazać wiadomość mojemu pracodawcy (bo z Pana jest tylko najemny Zbir, to oczywiste!): nie budzi Pan we mnie Strachu.

Nie wie Pan, z kim ma do Czynienia!

Znam takich ludzi, że nie ma Pan nawet Pojęcia!

Powtarzam po raz ostatni: niech Pan zrezygnuje ze swoich Poszukiwań!

To moje Ostatnie Ostrzeżenie.

Z najszczerzszymi pozdrowieniami

List był podpisany „Nora Zupcak”.

1.1

– Co to za nazwisko? – rzuciła Penny tuż nad moim ramieniem.

Jej głos sprawił, że podskoczyłem.

Penny miała dar wyrastania mi za plecami, jakby robiła to celowo albo jakby była kwintesencją słowa „zniecka”.

– To anagram wyrazu „ponuraczka” – odparłem, nawet na nią nie patrząc.

– Bardzo zabawne. Komediant z pana, Bmore.

Odwrociłem się do niej:

– Wolałaby pani Annie Wilkes? Mildred Ratched? Violette Morris? Lalkę Roberta? A może wręcz Lucy Ferkę? Ponuraczek nie brakuje.

Mijają prawie trzy lata, odkąd Penny zaczęła dla mnie pracować. Któregoś dnia zjawiła się w agencji, by odbyć staż, czas upływał, a ona zostawała, aż stała się niezastąpiona, choć sam nie wiem, czy to dobrze. Bo z wrodzoną elegancją i konsternującą naiwnością przeszkadza mi w pracy – powyżej dowód. O Bmore & Investigations nie można jednak powiedzieć, że interes kwitnie. Z drugiej strony ledwie dwudziestoletnia Penny wnosi powiew świeżości do agencji, której jestem zarówno właścicielem, jak i jedynym pracownikiem. Nie chciałbym sprowadzać jej wyłącznie do jej fizyczności,

ale doceniam między innymi jej cudownie kwantową grację: nigdy nie wiadomo, czy tu jest, czy jej nie ma. Tymczasem linie jej ciała przywodzą na myśl tory kolejowe. Jej twarz – rosę poranka. Jej włosy – Pollocka. Jak ona to robi, że czesze się w sposób tak płomienny?

– Moja mała Penny – mówię, zapalając papierosa – proszę zrozumieć, że zaletą konieczności wymyślenia rzeczywistości na nowo jest to, że możemy zemścić się na niej całkiem bezkarnie. Paradoksalnie nie musimy już jej szanować. Czyż to nie wspaniałe? Próba ochrony rzeczywistości przynosi zupełnie odwrotne skutki.

Penny spojrzała na mnie ze zdziwieniem, jej brwi stały się komiczne.

– Czyli że mniejsza z Norą, o to panu chodzi? – gwizdnęła głosem szpaka. – Sama się prosiła? Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada? A co z jej cierpieniem? Kłaść ludzi na papierze wbrew ich woli znaczy nie tylko skrać im życie, to jakby kłaść ich do grobu, który nie jest ich.

Milczałem.

Nieomal wypsnęło mi się, że nie zamierzam nikogo kłaść na papierze, lecz raczej podźwignąć za pomocą słów; a jednak się powstrzymałem.

Trzy lata temu nawet mi się nie śniło, że sprawy przybiorą taki obrót.

Nie miałem pojęcia, w jakie kłopoty się wpakuję.

Trzy lata temu nie wiedziałem, że fikcja zyskuje tyle wolności, ile traci prawdy.

Trzy lata temu nie nazywałem się Baltimore, a Penny nie istniała.

Nawet się nie urodziła.

2

Gdyby to był film, plansza ogłosiłaby teraz flashback, na ekranie pojawiłyby się zapisane ogromną czcionką słowa: „TRZY LATA WCZEŚNIEJ...”.

Być może zobaczylibyśmy, jak zrywane z kalendarza kartki ulatują jedna po drugiej niczym martwe liście unoszone przez jesienny wiatr, jak w starych filmach z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, tornado dat błyskawicznie przewijające czas wstecz: styczeń 2022... wrzesień 2021... kwiecień 2021... lipiec 2020... luty 2020... grudzień 2019... maj 2019... październik 2018... czerwiec 2018.

CZERWIEC 2018!

I tak oto zostaliśmy w mgnieniu oka przeniesieni do czerwca 2018 roku.

Mamy, tu i teraz, czerwiec 2018 roku.

Moment, w którym wszystko się zaczęło.

Moment, w którym wszystko, co wydarzyło się później, jeszcze nie istnieje!

Nora Zupcak? Jaka Nora Zupcak? W czerwcu 2018 roku ta kobieta nie była nawet mglistą ewentualnością. Była niewiadomą. Ponieważ o jej istnieniu dowiedziałem się dopiero w styczniu 2022 roku. Do tego momentu trzeba więc zapomnieć jej nazwisko, zapomnieć o jej mejlu, o wszystkim zapomnieć. Chodzi bowiem o uszanowanie chronologii faktów. Chodzi o zrekonstruowanie wydarzeń w takiej kolejności, w jakiej się rozegrały. W przeciwnym razie nie zrozumiemy nic z tej historii. Nie zrozumiemy nawet Nory Zupcak.

2.1

Gdyby to był film, teraz nastąpiłoby długie ściemnienie, aż zapanowałaby czerń jak po zamknięciu oczu; potem znów je otwieramy, a na ekranie kształty wyłaniają się z mroków zapomnienia, najpierw rozmyte i ruchome, nieforemne, abstrakcyjne masy, które powoli, bardzo powoli stawałyby się coraz bardziej uporządkowane, aż ukazałyby nam ulice starego Paryża, a może karła przebranego za kobietę, pokaz mody z lat pięćdziesiątych, badanie DNA, Niemców defilujących po Polach Elizejskich, kobietę w płaszczu w lamparcie cętki trzymającą w ramionach króliczka, męża tłukącego żonę, japońskiego pisarza,

korytarze Hotelu Overlook, parę rozpustnych starców, krajobrazy Tunezji i Algierii, profesora Lakmusa ze swoim wahadełkiem, żakerię w Bas-Berry, matkę ćwiartującą dwójkę swoich dzieci, mniejsza z tym. To, co liczyłoby się w tej chwili, to owo nieopisane przejście od rozmycia do ładu, ponieważ właśnie ono stanowiłoby wyraźną wskazówkę, że nasza historia wyruszyła ku punkcikowi na horyzoncie, o którym nic jeszcze nie wiemy.

Podczas tego przejścia od rozmycia do ładu, od zapomnienia do reminiscencji, od snu do jawy, od słowa mówionego do pisanego – nagle męski głos. Głos z offu. Głos bez twarzy. Głos jednocześnie bliski i daleki, monotony i pośpieszny, trochę jak u François Truffauta w jego filmach. Albo jak wewnętrzny głos człowieka mówiącego do siebie. A może jak świadectwo mężczyzny przesłuchiwanego przez policję i składającego następujące zeznanie:

„Chodzi o audycję radiową, którą usłyszałem w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Nie potrafię sobie przypomnieć, co to był za program. Nie pamiętam nawet, na jakim kanale go nadawali (France Inter? France Culture? W jakiejś komercyjnej stacji?).

Może zresztą nie były to lata osiemdziesiąte, lecz dziewięćdziesiąte.

Sam już nie wiem.

Pamiętam tylko, że jakiś pisarz opowiadał o książce, którą zamierza opublikować.

O książce, której tematem była kobieta – jak by to ująć?

Dawniej była sławną modelką u któregoś z wielkich projektantów. (U Jeana Patou?)

Swoje pięć minut sławy przeżyła w latach pięćdziesiątych (w latach sześćdziesiątych? siedemdziesiątych?).

Była podziwiana, adorowana, rozpieszczana, otaczana zazdrością, obstępowana, kochana.

Na pozór wspaniałe życie.

A jednak w niewielkim zajmowanym przez nią mieszkanku (w Paryżu? gdzieś indziej?) znaleziono jej zmumifikowane zwłoki.

Sąsiadów zaalarmował smród.

Nie żyła do dziesięciu miesięcy. (Czy jakoś tak).

Nie żyła od dziesięciu miesięcy i nikt tego nie zauważył.

Przez dziesięć miesięcy nikogo nie zaniepokoiło, że dawno się nie odzywała.

Ani rodziców, ani przyjaciół, ani sąsiadów.

Nikt jej nie wspierał.
 Nikomu jej nie brakowało.
 Jakby wytworzyła wokół siebie próżnię.
 Albo jakby już dawno skłoniła się na odchodne i nie robiło żadnej róż-
 nicy to, czy żyje, czy nie.
 To tak jak ze mną.
 Lub kimkolwiek innym.
 Nie ma co się oszukiwać.
 Dziesięć miesięcy!
 Jak stąd do wieczności.
 To dopiero wyznanie miłości.

Obok jej zmumifikowanych zwłok w stanie rozkładu leżących na łóżku jak
 na odrażającym wraku, w obscenicznym miejscu kaźni, znaleziono szkolny zeszyt.
 Zeszyt, w którym, tłumaczył pisarz w radiu, ta kobieta relacjonowała proces
 głodzenia się na śmierć. Zeszyt, w którym dzień po dniu zapisywała swoją
 powolną agonię, w klinicznym i lapidarnym stylu, bez najmniejszego śladu
 emocji – co nie oznacza wcale, że ich nie odczuwała – odmalowywała niszczenie
 swojego ciała, skutki pozbawienia się pokarmu, horror, jakim jest umieranie
 z głodu trwające całe dni, tygodnie. Potwornie dużo czasu.

Na antenie odczytano fragment z zeszytu: „Wtorek: język puszcza śluz
 jak ślimak”. Być może nie był to „wtorek”, ale trzydzieści trzy lata później
 wciąż pamiętałem to zdanie. Pamiętałem, jakby to było wczoraj. Wryło
 się we mnie. Widziałem, jak zapisuje te słowa w swoim zeszycie. Widzia-
 łem tego ślimaka! Widziałem język ślimaczący jej się w ustach i czułem, jak
 puchnie, rozdyma się i pokrywa śliną w moich własnych, i odtąd to dozna-
 nie nie dawało mi spokoju.

Ta wizja mnie zmroziła.
 Jak zagadka bez rozwiązania.
 Pokusa?

Usłyszawszy w radiu historię tej kobiety, usłyszawszy jej samotność i prze-
 rażającą chęć skończenia ze wszystkim, usłyszawszy jej słowa i jej podwójne
 szaleństwo utrwalone w szkolnym zeszycie, nigdy już o niej nie zapomnia-
 łem. Nigdy nie przestałem o niej myśleć, jej wspomnienie towarzyszyło mi
 od czasu do czasu niczym uparty lejtmotyw, przykra reminiscencja, mon-
 strualne pytanie.

Kim była ta kobieta?

Jak znalazła się w tamtym punkcie?

Jak mogła?

Jak można postanowić zagłodzić się na śmierć, w samotności, w swoim kąciku, w najdoskonalszej ciszy?

Zadawać sobie, chłodno i zdecydowanie, tak długie męki?

Do tego stopnia sprzeciwić się życiu?

Nawet pies nie pozwala sobie umrzeć z głodu.

Nawet osoby prowadzące strajk głodowy walczą o jakąś sprawę i w niej znajdują siłę, by posunąć się do ostateczności, jeśli ich żądanie nie zostanie spełnione.

A tu nic podobnego.

Tu nie ma żadnej sprawy.

Żadnej władzy, którą chciałoby się skłonić do ustępstw.

Żadnej męczenniczki.

Żadnej chwały.

Zero heroizmu, w każdym razie uznanego przez ogół.

Jedynie anonimowość.

Jedynie okrucieństwo samotnej, niekończącej się męczarni.

Nieludzkie słowo.

Słowo „szaleństwo”.

Ale jak ono właściwie brzmi?

Czasami prowadziłem poszukiwania w internecie. Wpisywałem w Google „modelka samobójstwo »śmierć głodowa« gazeta Patou książka pisarz »lata 80«”, próbując wszelkich wariacji i kombinacji. Niezmiennie trafiałem na historie o anoreksji w świecie mody. Isabelle Caro. Zombie Boy. Raudha Athif. Tales Soares. I tak dalej. Z założenia nic, co by mnie interesowało.

To nie tak, że miałem obsesję na punkcie tej historii. Było raczej jak z tym przyjacielem z dzieciństwa, z którym dawno temu straciliśmy kontakt, a o którym myślimy przelotnie w chwilach, gdy umysł wypełnia pustka, i zastanawiamy się, jak potoczyły się jego losy. Przez godzinę lub dwie szukamy jego śladów w sieci – na próżno. Wydaje się, że zniknął z powierzchni ziemi. Może zmarł. Albo siedzi na drugim końcu świata. Ostatecznie dajemy sobie spokój. Przestajemy o tym myśleć. Zupełnie jakby całe życie mieściło się w internecie i tam mieszało się z miliardami danych. Cóż za iluzja. Ale

kilka miesięcy później, w kolejnej chwili pustki, coś na kształt maleńkiej świeczki oświetla nikłym blaskiem jakiś zakątek naszej pamięci, a wtedy znów o nim myślimy i cykl zaczyna się od początku.

To nie tyle sama historia wracała nieśpiesznie, by dręczyć mnie w mniej lub bardziej regularnych odstępach czasu, co raczej ów dziennik spisany i zostawiony przez tę kobietę po jej śmierci jako świadectwo – czego? Co oznaczał fakt, że zanotowała przebieg swojej agonii? Że na bieżąco ujmowała ją w słowa? Czy ten tekst powstał po to, by go czytano? Byśmy zrozumieli? Przerazili się? Opłakiwali ją? By tych, co go przeczytają, ogarnął wstyd? Czy chodziło o to, że nie potrafiła umrzeć bez słowa, chciała mówić mimo wszystko, przełamać milczenie, które za życia stało się jej całunem? Udowodnić światu, że istniała, kiedyś, niedawno, aż po swoje ostatnie tchnienie? Że nikt nie ukradnie jej śmierci? Że zdoła przetrwać samą siebie? Dlaczego piszemy?

Co takiego robimy, jeśli nie umieramy z powodu swego rodzaju głodu, dzień po dniu, słowo po słowie? Jeśli, nie troszcząc się o jutro, nie notujemy na kartce papieru lub w mrokach naszych myśli oznak jakiegoś braku, którego nie umiemy nazwać?

Czy za życia tworzyła inne teksty?

Może wiersze?

Chciałem przeczytać zeszyt od deski do deski. Trzymać go w dłoniach i przewrócić każdą ze stron, docenić każde z jej słów, połączyć ze sobą wszystkie zdania, tak by zyskać obraz całości, bo tylko dzięki niemu można było poznać logikę i tajemnicę tego, co napisała, a więc przeżyła. Cóż za dokument! – myślałem. Nie wątpiłem w jego wartość literacką. Pragnąłem w nią wierzyć. Był to dziennik nie śmierci, lecz życia w jej obliczu. Był to dziennik życia, które przygląda się swojemu umieraniu. *Życia, które z a d a j e s o b i e ś m i e r ć*. Było to, spisane czarno na białym, najintymniejsze ze spotkań. To było szaleństwo. Ten tekst był wyjątkowy. Zdawał sprawę z przeżytego doświadczenia nieporównywalnego z żadnym innym. Z indywidualnego doświadczenia granic. Z intymnego przejścia od życia do śmierci, tyle że w nieskończonym spowolnieniu. Z prędkością jednej klatki na sekundę. Jednego uderzenia serca na godzinę. W ślimaczym tempie! Żaden pisarz tak bardzo nie zbliżył się do otchłani. Ani Sade, ani Rimbaud, ani Lautréamont, ani nawet Artaud. Nie opowiadał o tym *Ostatni dzień skazańca* Hugo. Był może jedynie Hervé Guibert, tak. W swojej książce

Cytomégalovirus (Cytomegalowirus). I w swoim filmie *La Pudeur ou l'Impudeur* (Wstyd i bezwstyd), który nie ukrywał żadnego aspektu choroby i całkiem odsłaniał chorego, obnażając grozę umierania. Jednak do Guiberta śmierć przysłała z zewnątrz. Została mu przekazana. Nie wszczepił sobie wirusa HIV świadomie. Nie popełnił samobójstwa. Nie położył kresu swojej egzystencji z własnej woli. Wręcz przeciwnie. Zrelacjonował walkę z chorobą i swoją porażkę. On był ofiarą, podczas gdy ta kobieta była swoim własnym katem i z tego względu jej dziennik wydawał mi się tym bardziej oszałamiający. Był absolutem. Był czernią poza czernią. Czymś wręcz nie do pomyślenia. Święta i jej nienawiść. Nie wiem, jak to wyrazić.

Wiedziałem tylko jedno: ta kobieta napawała lękiem. Mnie napawała lękiem. Śmiałość jej samobójstwa przerażała mnie. A to, że opowiedziała o jego okropieństwie, wprawiało mnie w zdumienie. Przerastało mnie. Coś mi tu jednak nie grało. Dwie rzeczy.

1. Kto popełnia samobójstwo w taki sposób, że będzie trwało szalenie długo?
2. I kto, popełniając samobójstwo w taki sposób, że będzie trwało szalenie długo, zdaje z tego sprawę na piśmie, skrupulatnie przyglądając się swojej powolnej śmierci, jakby to była makabryczna halucynacja – lub nienazwana rozkosz?

A jednak coś mnie ciągnęło ku tej kobiecie. Czuję, że blisko mi do jej potworności. Niewytłumaczalnie blisko. Trochę jak z dwoma magnesami o różnych biegunach: odpychają się i przyciągają jednocześnie. To uczucie zatrzymało mnie do tego stopnia, że być może bałem się sam siebie.

Nie ma wątpliwości, że pisarz wypowiadający się w radiu miał dostęp do szkolnego zeszytu. Nie było innej możliwości. W swojej książce musiał cytować z niego obszerne fragmenty. Może opublikował go nawet w całości. Ile stron łącznie?

Tyle tylko, że nie znałem nazwiska pisarza, podobnie jak tytułu jego utworu, ponieważ w tamtej chwili nie zanotowałem ani jednego, ani drugiego. Ależ ze mnie dureń!

Problem: wyglądało na to, że pozycja nie odniosła wielkiego sukcesu. W internecie próżno było jej szukać. Nie rozumiałem zresztą, jak to możliwe, że po tej historii nie został nigdzie żaden ślad. To było zdumiewające. Niemal dziwaczne. Po obojętności za życia obojętność *post mortem*? A jednak

niewiele medialnych newsów budziło tyle pytań i tak zagłębiało się w, jak to mówią, udreki ludzkiej duszy.

Moją jedyną nadzieją było odnalezienie tego pisarza. Położenie łapy na jego książce. Odkrycie, jak nazywała się tamta kobieta. Ustalenie, kim była. Rozplątanie tego wężła, jeśli to tylko możliwe. Jak w zabawie matrioszkami. Śledztwo w stylu filmu *Laura ze mną* w roli porucznika Marca McPhersona usiłującego wyjaśnić śmierć Gene Tierney. Kryminał, którego bohaterką byłoby widmo przeszłości.

Nie miałem jednak żadnego tropu i przez trzydzieści trzy lata ciążyła mi ta zagadka.

Ta mała rana w mojej świadomości.

Ta drobnuteńka, lecz niewątpliwie istniejąca bryłka czarnej otchłani przecząca rozsądkowi, moja, ale nie tylko”.

Głos z offu milknie / całkowite ściemnienie.

„To pisanie jest prawdziwą przyjemnością” –
Virginia Woolf, *Dziennik pisarki*

3

Wszystko dzieje się we właściwym momencie. Nic nie jest w całości dziełem przypadku. W najbardziej sprzyjającej chwili coś daje nam znak, a gdy tracimy nadzieję, wyciąga się do nas jakaś dłoń, i oto potwierdziło się to po raz kolejny.

Można wierzyć w swoją szczęśliwą gwiazdę albo nie.

Mamy więc czerwiec 2018 roku. W tamtym czasie kiepsko sobie radzę. Czuję się beużyteczny, rozgoryczony, parszywy, beczynny, zagubiony, małostkowy i tak dalej. Sprawiam wrażenie, jakbym miał się dobrze, ale to fałsz. Inni mnie drażnią. Przygnębiają. Nie lubię ich sposobu bycia. Gdy tylko z kimś porozmawiam, czuję się jeszcze bardziej osamotniony. Jestem przestraszony. Najchętniej położyłbym się, naciągnął na siebie kołdrę i odwrócił się twarzą do ściany. Już zresztą nie wychodzę. Czas spędzam na rozmyślaniach, umysł mam bezkształtny. Telewizor jest stale włączony. To moja spluwaczka, do której upuszczam żółci. Jem dla zasady. Książki lecą mi z rąk. Muzyka działa mi na nerwy. Kobiety mnie irytują, a miłość pozostawia obojętnym. Podobnie sam budzę w sobie irytację i obojętność, tyle tylko, że jestem zmuszony przebywać w swoim towarzystwie. Nie mam wyboru.

Powody mojej depresji? A czy to ważne?! Kto się tym przejmie? Kto mógłby mi podnieść morale? Wszyscy są teraz przygnębeni. Nikt nie ma się dobrze. Nie ma co dokładać innym zmartwień. Wolałbym czuć się lepiej. Depresja nie czyni mnie „wyjątkowym”. Ani bardziej inteligentnym, nic z tych rzeczy. Jestem za stary, by wierzyć w coś takiego.

3.1

Ze względu na tych, których to mimo wszystko interesuje, powiedzmy, że przed dziewięcioma miesiącami miałem pracę. Jednak dziennik, który mnie zatrudniał, został sprzedany i, zważywszy na reputację i praktyki wydawnicze nowego właściciela, wolałem odejść i zgarnąć odprawę.

W tamtym momencie sądziłem, że to będzie okazja, by trochę odetchnąć. Odzyskać kontrolę nad swoim życiem. Oddać się nowym zajęciom, z którymi etat nie pozwalał mi eksperymentować. Przed oczami tańczyło mi radośnie słowo „wolność”. Najwyższy czas, biorąc pod uwagę mój wiek. Zwłaszcza, że

miałem teraz trochę pieniędzy – pierwszy raz w życiu. Może mógłbym sobie kupić mały domek, najlepiej nad brzegiem morza, w okolicach Bretanii, jeśli to możliwe. Chodziło o to, by zmienić otoczenie. Znaleźć schronienie. Nie być już na łasce listu poleconego, który mógł pewnego pięknego ranka kazać mi opuścić mieszkanie jeszcze przed końcem roku, ponieważ jako lokator nigdy nie byłem u siebie. Co ja sobie myślałem?

Figa!

Byłem bezrobotny od dziewięciu miesięcy i moja egzystencja przypominała martwego ptaka. Zdechłego szczura. Pozbawiona punktów orientacyjnych, które mają swe źródła tak w dokonywanych wyborach, jak i nabytych przyzwyczajeniach, zdekonstruowała się nagle, zreorganizowała w pustkę – walący się domek z kart! Skończył się przymus wstawania, ubierania się, wychodzenia, bycia aktywnym, całowania się na powitanie, rozmawiania z ludźmi, zaprzęganania mózgu do konkretnego zadania, choćby było mało interesujące. Mimo codziennych wysiłków czułem, że się pograżam, że jestem społecznie zależny od zasiłków i doradców z urzędu pracy, którzy traktowali mnie to jak głupiutkie dziecko, to jak oszusta, to znów jak nieznośny ciężar dla społeczeństwa, ponieważ pięć dni wcześniej nie raczyłem odpowiedzieć na nadzwyczajną ofertę pracy z firmy zajmującej się korespondencją seryjną, która chciała, żebym we własnym domu zaklejał dla niej koperty. Co za kpina! To ma być oferta pracy? Dla niemal sześćdziesięcioletniego człowieka? Po tym, jak przez dwadzieścia lat harował dla czasopisma naukowego? Na dodatek przed urzędniczką (chudą jak szczapa kobietą o małych, zmęczonych oczach) musiałem udawać pokorę i przepraszać, że żyję, przepraszać, że przez całe życie płaciłem składki, bo odtąd nad moją głową wisiała groźba skreślenia z listy, wstydu i nędzy. To było poniżające. Budziło wielki niepokój.

Jak śpiewa raper Vald: „Ani jedzenie, ani mieszkanie nie są za friko / Myślę, że tym samym powiedziałem wszystko / Ten świat jest okrutny (ten świat jest obrutny)”*.

* Raper wyjaśnia, że w tej piosence nawiązuje do dwóch rywalizujących ze sobą gangów Los Angeles. Jeden z nich – Bloods – w komunikacji wewnętrznej zastępuje literę „c” literą „b”. Stąd francuskie *cruel* (okrutny) zmieni się w pozbawione dosłownego znaczenia *brucl*. Po polsku zdecydowałam się zachować ten zabieg, mimo że zastąpioną literą siłą rzeczy będzie „k” (przyp. tłum.).

Poza tym nie miałem co robić i wbrew sobie pozostawiałem beczynny, u pozbawionych zajęcia rąk zawadzało mi dziesięć palców. Mój grafik ukazywał całkiem puste wiersze i kolumny. Ów czas, który miałem nadzieję odzyskać, uciekał mi niczym strumień piasku między palcami, tak że nie mogłem go zatrzymać, i w tym bezkresnym korytarzu czasu nie zostało mi nic poza wlokącymi się w nieskończoność porankami, gnuśnymi popołudniami, które nie chciały upłynąć, wieczorami zatrwającymi pustką – że nie wspomnę o bezsenności. Będąc w tak zaawansowanym wieku, nie miałem najmniejszych szans na znalezienie stałej posady w swojej branży. W dzisiejszym świecie wiek niewiarygodnie szybko zaczyna działać na naszą niekorzyść. Jeśli chodzi o mały domek, odkryłem, że ludziłem się co do cen nieruchomości. Od zawsze żyłem w przeświadczeniu o rzekomej „wartości własnej pracy”, podczas gdy w tym kapitalistycznym świecie – najlepszym ze wszystkich światów – dużo więcej można w życiu ugrać, posiadając kapitał, niż harując trzydzieści pięć godzin tygodniowo przez dwadzieścia lat. Analiza otrzymanej przez wiele lat pensji kazała mi stawić czoła faktom: musiałbym pracować dwa lub trzy tysiące lat, by kupić sobie dom, który choć w niewielkim stopniu spełniałby moje oczekiwania. Nieprędko znajdę więc miejsce, które mógłbym nazwać „swoim” – stare marzenie!

Najbardziej jednak brakowało mi nie stałego rozkładu dnia, pracy, ludzi, czegoś, czym mógłbym zająć czas, jakby mowa była o armii zajmującej jakiś kraj, nie, najbardziej brakowało mi stołówki, gdzie codziennie jadłem samotnie obiad, czytając gazetę, i gdzie mogłem wybierać spośród przystawek we wszystkich kolorach tęczy, trzech dań głównych na każdy gust i nieraz bardzo apetycznych deserów. Teraz musiałem zastanawiać się, co zjem nie tylko wieczorem, ale też w południe, jakbym nie miał innych tematów do rozmyślań i jakby to był najważniejszy problem na ziemi.

3.2

Jednak prawdziwym powodem mojej depresji, powodem intymnym i nieodwołalnym, była moja ostatnia książka: do cna opróżniła mnie z substancji. Dałem jej wszystko, a ona wszystko mi zabrała, unosząc z sobą moje siły witalne, żadnych mi nie zostawiając. Byłem wyżęty, pusty w środku, znerwicowany. Stworzyłem potwora liczącego dwa tysiące stron, a on połknął

mnie w całości. Stworzyłem potwora, a co się stało z Jonaszem po tym, jak wypłuł go wieloryb?

Wiedziałem jedno: pisanie było euforią, której nie dało się z niczym porównać. Publikowałem już wcześniej książki, ale po raz pierwszy poczułem się pisarzem, tak, czułem się wybrańcem, tak, wkroczyłem w zakłęty krąg m o j e j literatury, tam, gdzie pisanie przestaje być działaniem artystycznym, a zaczyna upodabniać się do samego życia, aż całkiem je wypiera. Co za szczęście! Przebiłem własny szklany sufit i, siedząc przed komputerem, fizycznie doznawałem musowania każdej chwili, rozkoszy jednocześnie literackiej i egzystencjalnej, której wcześniej nawet sobie nie wyobrażałem, jakby mój mózg nieustannie taplał się w oksytocynie, topił w dopaminie, wypełniał endorfinami, wszystkimi tymi hormonami równocześnie, najintensywniejszym ze wszystkich koktajli. Może i tkwiłem spokojnie przy biurku, ale nie mogłem usiedzieć na miejscu. Śpiewałem i tańczyłem. Sprawiałem, że świat kręcił się w zagłębieniu mojej dłoni, każdym zdaniem na nowo wymyślałem wszechświat, tworzyłem najwyższe nieba. Mój umysł pędził tysiąc na godzinę, podłączony do stu tysięcy woltów, iście zelektryzowany, wszystkie zawory maksymalnie odkręcone przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Byłem szczęśliwy. Byłem istotą z baśni. Radowałem się w nieskończoność w sposób prawdziwie obsceniczny i było to lepsze niż uprawianie miłości. Moja jaźń jak nigdy dotąd zmobilizowała się do działania; mój pobyt na ziemi nabrał sensu; wszystkie moje wewnętrzne sprzeczności cudownie się ze sobą pogodziły. Nigdy nie czułem się tak żywy. Pełen i kompletny. Nigdy nie doświadczyłem podobnej radości z bycia na świecie. Podobnej w s z e c h m o c y! Gdy pisałem, wiedziałem, że nie mogę umrzeć. To było niemożliwe. Choć to przekonanie dalszy ciąg tej historii zdołał już obalić (uśmiech). Nie szkodzi: pisać to zwyciężyć śmierć. Przeciwwstawić jej nadrzędną życiową siłę, ja zaś chciałem na wieki zatracić się w tym stanie wspaniałej witalności. W tej niewyczerpanej młodości. Miałem wrażenie, jakbym był pierwszym pisarzem na ziemi, bo nikt nigdy nie napisał historii, którą opowiadałem – a tym bardziej w sposób, w który ją opowiadałem. To pozwalało mi na każdą zuchwałość, gwarantowało wszelką swobodę. Przełamywałem konwencje literackie – te przeklęte konwencje, które sprawiają, że książki często przypominają raczej swoją własną podobiznę, a nie prawdziwą istotę – w moich rękach strzelały niczym korek od szampana. Nie było wątpliwości, kładłem fundamenty pod całkiem nowy rodzaj

literatury. Byłem wróżką. Byłem minotaurem. Byłem królem składającym przed czytelnikiem mirrę, złoto i kadzidło. Pięć wieków od teraz wciąż będzie się mówiło o mojej książce. Zrodzą się z niej powołania. Zostanę ojcem nowego klanu pisarzy, jednocześnie tragicznych, wyzwolonych i radosnych. O c a l ę ś w i a t! Ta megalomania, zapewne śmiechu warta, lecz piękna jak słońce w zenicie, opromieniała mój tekst przez całe miesiące i lata.

Jednak wszystko ma swój kres i wreszcie skończyłem pracę nad książką. Została opublikowana, poświęcono jej artykuły prasowe, dostała nawet nagrodę, a trzy lata później żyła własnym życiem gdzieś w szerokim świecie, podczas gdy ja zostałem na miejscu, bezkrwisty i jałowy. Jakby zgasło we mnie całe światło. Jakbym został wydalony z wszechświata spowitego cudowną owodnią i nagle znalazł się w chłodnej i sztucznej rzeczywistości. Po pięknym śnie, jakim było pisanie, raptem taki koszmar. Co za więzienie! Co za nicość! Okazało się, że nie mam już w życiu żadnego celu, żadnej misji na tej planecie. Zniknęły siły i pragnienia. Koniec z duszą. Spaliłem za sobą wszystkie mosty i po powrocie na ziemię, kiedy znów padłem ofiarą głupiej przypadkowości i przeciętności otoczenia, wszechobecnego barbarzyństwa, na powrót stałem się śmiertelny. Skorupa jak każda inna. Istota, która wyzuwa w sobie olbrzymią pustkę i nieustannie w nią wpada. Wrak. Wylinka.

Ludzie nie wiedzą, co książki robią tym, którzy je piszą.

W jakim stanie ich zostawiają.

Nie mają o tym najmniejszego pojęcia.

To nie jest wyrzut, a jedynie stwierdzenie faktu.

(Mówię oczywiście o utworach, które nie zadowolają się opowiedzeniem historii. Te inne podsycają wprawdzie płomień, ale nie rozpalają ognia).

Działo się to w okresie, gdy oskarżałem moją książkę, że ze wszystkiego mnie ograbiła. Czułem do niej swego rodzaju obrzydzenie. Zazdrość, z jaką ojcowie patrzą na synów. Czy pozwoliła mi nawiązać pełne pasji przyjaźnie? Stworzyć krąg literacki, który przywodziłby na myśl gromadę kumpli, bandę, jak w dzieciństwie? Czy wzbudziła jakąkolwiek dyskusję? Zmieniła coś choćby o jotę? Zrewolucjonizowała literaturę i przeobraziła świat? Gdzie tam! Mnie, który sądziłem, że gdy zostanę pisarzem, zyskam odrobinę szacunku, traktowano z taką samą dezynwolturą jak dawniej. Z taką samą nieuważnością. Zdawało się, że cieszę się wręcz mniejszym poważaniem! Dość powiedzieć, że zmarnowałem swoją szansę. Radziłem sobie jeszcze

gorzej niż wcześniej. Czułem rozpacz dotąd mi nieznaną. Rozpacz, tak, to jest właściwe słowo.

Prawda jest taka, że moja książka była tylko jednym spośród miliona innych tytułów. Jednym tytułem, o którym zapomniano, gdy w kolejnym szczyście sezonu literackiego – tej maszynie, która pożera wszystko – ukazało się pięćset nie mniej wyjątkowych dzieł. Więc po co to wszystko?

Po co pisać, skoro świat kręci się dalej, jakby nic się nie zmieniło?

To już lepiej być piekarzem, elektrykiem, położną.

Te zawody są przynajmniej pozytywne.

Ta cholerna książka była moim meteorytem, a ja jej dinozaurem. Była moim boorem gospodarczym, ale nadeszły chude lata. Pora zrobić miejsce kryzysowi, rygorowi, oszczędności, codziennej prozie, która rymuje się ze zgrozą, małemu życiu, przez które idzie się małymi kroczkami, skąpym godzinom.

Czy Uliseses dwukrotnie odbył swoją odyseję? Już nigdy nie wyruszę w podobną podróż, zwłaszcza skoro na koniec trzeba wrócić do szeregu, pozostać numerem jak wszyscy pozostali. Nie stworzę kolejnego potwora. Rozmyślałem o Maurisie Blanchocie, który mawiał, że „pisanie to forma poświęcenia samego siebie”. Dzięki, Momo. Też życzę ci wszystkiego dobrego. Rozmyślałem o sportowcach, którzy pewnego dnia dokonali niesamowitego wyczynu, a później osunęli się w anonimowość i rozgoryczenie: oni wiedzieli, jak bardzo życie nas kantuje.

Gdy po raz ostatni wpisywałem dedykację do swojej książki, nabazgrałem: „Tu spoczywa autor”. Zostali ostrzeżeni. Żeby nikt mi nie robił wyrzutów. Żeby przestali już dociekać, co zamierzam teraz napisać. Koniec z tym pytaniem, które regularnie mi zadawano. Więc to, że napisałem jedną książkę, nie wystarczy? Oni już czekali na kolejną? Szybko, następna! Dalej! Szast, prast! Już cię tu nie ma! Ale czego ode mnie chcieli? Czyż nie byli jedynie odbiorcami? Czy pytaliby Prousta, co zamierza napisać po *W poszukiwaniu straconego czasu*? „No dobrze, panie Cervantes, co napisze pan po *Don Kichocie*? Nie możemy się doczekać!”

Od dawna zwykłem powtarzać, że gdy zgubi się ścieżkę gdzieś po drodze, wystarczy trzymać się owej drogi. Teraz już w to nie wierzyłem. W nic już nie wierzyłem. Droga wiodła w ślepy zaułek.

Nie wiedziałem, co będę dalej robił, ale nie myślałem poważnie o odejściu, jak to się wstydliwie określa. Dlaczego nie? Co mnie powstrzymywało?

Albo kto? Lepiej usunąć się, póki czas. Z dużym taktem. To by miało pewien polot.

Właśnie o to mi chodziło, gdy mówiłem, że stałem się rozgoryczony, parszywy, małostkowy i tak dalej...

Ale to było dziewięć miesięcy wcześniej.

Dziewięć miesięcy później wiem, że właśnie rozpoczęta przeze mnie książka jest paliwem, dzięki któremu zdołam spalić moje poprzednie dzieło, tak jak człowiek pali coś, co kochał, ponieważ nie ma wyboru. Że zamknie drzwi, które się otwały, zapieczętuje zawór. Zostaną popioły albo nic.

4

Mamy czerwiec 2018 roku.

Jestem u ludzi, których nie znam. To coś w rodzaju przyjęcia urodzinowego. Wydaje mi się, że zebraliśmy się tu ze względu na naszego gospodarza (starszego pana), a może jego dawno zmarłą córkę, nie wszystko zrozumiałem. Panuje dziwna atmosfera.

Zaprosił mnie dawny kolega z gazety. Jeden z nielicznych, których darzyłem sympatią, głównie dlatego, że podobnie jak ja jest fanem rugby. W pierwszym odruchu chciałem odmówić, przykro mi, mam inne zobowiązania. Ale bardzo go lubiłem, a to by znaczyło, że muszę go okłamać. Co więcej, musiałabym wyłożyć powody mojej odmowy, jakoś się usprawiedliwić, zamotać. Wybrałem łatwiejsze rozwiązanie i, w duchu wznosząc oczy do nieba, przyjąłem propozycję. Ludzie zawsze pytają o przyczyny odmowy, a nigdy o to, dlaczego na taką czy inną rzecz się godzimy – poważny błąd!

O tamtym wieczorze nie da się powiedzieć nic szczególnego. Przyjęcie odbywało się w przepięknym mieszkaniu na parterze, którego wielkie wykuszowe okna wychodziły na patio oświetlone wielobarwnymi latarenkami. Impreza urodzinowa jak każda inna, ludzie rozmawiali, pili i śmiali się, nie wolno też zapomnieć o napięciach będących nieodłączną częścią spotkań rodzinnych. Wieczór był chyba udany. Grono gości składało się z ludzi w wieku od trzydziestu do siedemdziesięciu lat i dzieciarni, której zabraniano biegać we wszystkie strony. Człowiek wie, że mocno posunął się w latach, gdy sobie uświadomi, że jedynymi młodymi osobami, które zna, są jego własne dzieci i ich znajomi.

Pamiętam przede wszystkim kolację i to, że większość czasu spędziłem, przyglądając się okruszkom chleba na białym obrusie. Miałem ochotę wytoczyć im proces. Było nas przynajmniej dwadzieścioro przy ułożonym w kształt litery „T” i wspaniale zastawionym stole, kryształowe szklanki, srebrne sztuce i kosze kwiatów. Rozmowy śmigały, a ja wyłapywałem jedynie oderwane strzępki, zależnie od tego, czyj głos wzniósł się nagle nad ogólny harmider. Gdybym miał przy sobie dyktafon, nagrałoby się coś w tym stylu: „Czy ktoś może mi podać szparagi? Dziękuję wszystkim. Wstaję, by wam powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że was tu dzisiaj mam. Chciałabym

także w kilku słowach podziękować mojemu mężowi, mojemu drogiemu i czulemu Helge'owi. A ja chciałbym wznieść toast za Yoyo, która kończy trzydzieści pięć lat. Co to? Kurczak? O, to biszkopt z kremem maślanym? Nie, kasztanowym! Dietę rozumiem, ale nie obsesję. Widzieliście tego newsa? Gość zabił teścia, dla żartu ciągnąc go za gumkę od majtek. Witamy w Gryffindorze! Ja wznoszę toast za góry śmieci, które mnie otaczają, można by zapełnić cały kosz, do cholery. Uch, ten gulasz jest po prostu obrzydliwy. Sos to sama woda. Czy ktoś mi w końcu poda szparagi? Co to jest „mektek”? To proste: za dwadzieścia lat będzie nas na Ziemi siedem miliardów, a jak myślicie, ile wazą odpady produkowane codziennie przez nasze ciała? À propos newsów przypomniała mi się ta kobieta, która zagłodziła się na śmierć. Jakaś była modelka. To coś w rodzaju sporu o prawdę. Nadałem mu tytuł: „Gdy tatuś brał kąpiel”. Ach, ależ sobie zafundujemy cholesterol! Gdy ma się do czynienia z handlarzem mebli, pozostają tylko dwa rozwiązania: ogień albo siekiera. Ogień ładnie się pali, z pomocą siekiery można się wyżyć. Nie, nie straciłem pracy, nie rozplynęła się jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki, skąd: sam odszedłem! Och, moje panie, nie jestem w nastroju do zabawy. Opowiem wam historię. Któregoś dnia o siódmej rano pewien funkcjonariusz odkrywa, że na grobie nieznanego żołnierza śpi głębokim, pijackim snem młody mężczyzna. Właśnie o to mi chodzi! To okropne, ta kobieta, która umarła z głodu. I zostawiła dziennik swojej agonii? Szaleństwo! Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, na czym polega błąd? O, tam są brzegi Anglii. I jeśli je widać, to znaczy, że będzie ładna pogoda. Hej, Valance, to mój stek! Pozbieraj to, Liberty! Wiecie, ile miesięcznie wydaję na mięso u samego tylko rzeźnika? To Saint-Julien Château Léoville Las Cases, rocznik pięćdziesiąty trzeci! Zanudzam was? Wiecie, że słowo „modelka” w wielu językach brzmi bardzo podobnie? Twoja matka wydaje się myśleć, że będę dalej harował jak niewolnik i dam jej trzymać swojego fiuta w pudełku Tupperware! Czy ktoś mi w końcu poda te cholerne szparagi? Miau! Miau! Powiem wam jedno: ta ikra taszy smakuje jak prawdziwy kawior. Ale może woli pani akordeon. Nie potrafię kłamać, Bestio. Pracuję w archiwum audiowizualnym i jeśli pan chce, mogę trochę pogrzebać. Nigdy nie wiadomo. Powąchaj moją rękę: śmierdzi! No nie, do końca życia będę służyć tych bzdur! Wysłuchiwać durnych kazań po kres czasu! To co, Rémi, zjemy mule? Poproszę to samo co ta pani. Gdy pomyślę, że mamusia

sypia z tym starym grzybem...! Stul dziób! Wkurzasz mnie! Ja cię wkurzam! Wszystkich was wkurzam! Przedwczoraj wybraliśmy się do opery na *Tristana i Izoldę*. Mam na imię Thomas. Niech mi pan poda swojego mejla, a dam panu znać. Obiecuję! Trzecia mrówka mówi: widzę dwie mrówki przed sobą i dwie za sobą. Możemy się pomylić w ocenie malarstwa czy muzyki, ale żarcia – nigdy: albo jest dobre, albo paskudne. Droga mamo, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku weszłaś do gabinetu i ujrzałaś swojego syna na czworakach i swojego męża bez spodni. Przykro mi, że widziałas swoje dziecko w takiej sytuacji. Przykro mi, że mąż kazał ci się stamtąd zabierać, a ty bez wahania usłuchałaś. Proszę to opowiedzieć swojemu sąsiadowi, bo mnie te pańskie nonsensy gównem obchodzą. Wszyscy wiedzą, że podczas gdy Cézanne malował jabłka, tak naprawdę nie malował jabłek, nie, tematem jego obrazów było malarstwo. Uwielbiam stare, dobre tradycje rodzinne”. I tak dalej.

Jednym słowem urodzinowa kolacja jak każda inna. Jak te, które namiętnie oglądamy w kinie, z ich momentami szczerości i okazjami, by po prostu dobrze się bawić. Pod koniec posiłku jakiś młody hippis wskoczył nawet na stół i zaczął śpiewać na cały głos: „*I got life, mother! I got my ass!*”. I jakby to było zaraźliwe, wszyscy obecni zaczęli wówczas jak opętani tańczyć żywiołowe calypso do utworu zespołu Banana Boat (*Day-O*). Dwa bardzo wzruszające momenty. Prawdę mówiąc, jeśli dobrze liczę, powyższy fragment składa się łącznie z około trzydziestu cytatów filmowych... Kto zdoła je odnaleźć? To taka mała gra towarzyska, którą proponuję dla zabicia czasu. Chciałem dzięki temu oszczędzić sobie konieczności relacjonowania tej kolacji, która – choć przyjemna – nie pozostawiła mi po sobie żadnych wartych przytoczenia wspomnień, a jednocześnie – i tu subtelniejszy zabieg – dojść w ten sposób do tego, co okaże się pierwszym zwrotem akcji w tej historii.

4.1

Bo dwa tygodnie później otrzymałem poniższą wiadomość z nagłówkiem Narodowego Instytutu Audiowizualnego (dla przyjaciół INA):

Dzień dobry,
spotkaliśmy się podczas kolacji urodzinowej Helge'a (co to była za dzika impreza!).

Obiecałem Panu, że poszukam, czy w naszych archiwach nie ma czegoś na temat tamtej historii, o której Pan wspominał.

I myślę, że coś znalazłem!

Mamy u siebie dwie audycje radiowe, gdzie mowa jest o książce dotyczącej modelki, która zagłodziła się na śmierć. Wygląda też na to, że ta kobieta wzięła udział w programie telewizyjnym Anne Gaillard, gdzie opowiadała o swoim rozwodzie (ale to jest do sprawdzenia, bo mam pewne wątpliwości).

Poniżej numery referencyjne i streszczenia emisji pochodzące z naszej bazy.

By móc ich odsłuchać/zobaczyć je, trzeba zarejestrować się na stronie INA, wystarczy wypełnić formularz online.

Mam nadzieję, że materiały się Panu przydadzą!

Dobrego dnia

Thomas

Dalej widniały dwie krótkie notki.

4.2

Pierwsza z nich (o numerze PHD98037192) dotyczyła audycji z cyklu *Magnetyczne noce* wyemitowanej na kanale France Culture w czwartek 29 maja 1986 roku pod tytułem *Noc i chwila*. Trwała dziewięćdziesiąt minut, opis wspominał: „Wywiad z Alainem Arnaudem na temat *Rue Championne*. To skromne dziełko zainspirowane zasłyszana przez autora autentyczną historią. Pewna kobieta przez czterdzieści dni umierała z głodu. Dawniej była sławną **modelką**”.

To nie ja wytłuściłem słowa.

Musiała minąć chwila, zanim zrozumiałem: by przeprowadzić swoje dochodzenie, Thomas wpisał zapewne wyrazy „głód” i „modelka” i siup, bingo! Wyszukiwarka w ciągu kilku milisekund pokazała mu dwa wyniki, a zadane słowa zostały wytłuszczone. Nieźle mieli w tym INA narzędzia. Zindeksowali naprawdę wszystko, szczegółowo opisali, minuta po minucie, niemal siedemdziesiąt lat programów radiowych i telewizyjnych. Ależ to sprawiało człowiekowi przyjemność! W tym chaotycznym świecie istnieli jeszcze ludzie, którzy wykonywali swoją robotę. Gdybym o tym wiedział, już dawno zwróciłbym się do INA. Dlaczego o tym nie pomyślałem? Można szukać całe życie, najważniejsze, żeby szukać w dobrym miejscu. I mieć odpowiednie znajomości.

Notka dodawała, że kobieta „zerwała wszelkie kontakty z żyjącymi, mimo że miała dzieci”. W osiemnastej sekundzie piątej minuty sekwencja kończyła się pytaniem: „Co [Alain Arnaud] pragnął osiągnąć, pisząc tę książkę? Pisarz tłumaczy, że niczego nie chciał osiągnąć, to była czysta fascynacja”.

Druga notka (o numerze PHD99011353) także odsyłała do audycji z cyklu *Magnetyczne noce*, ta jednak nosiła tytuł *Cztery dzielnice samotności (część druga)*. Nagranie zostało wyemitowane w środę 10 czerwca 1987 roku, a więc rok później, trwało pięćdziesiąt dziewięć minut i trzy sekundy. Tekst wskazywał, że w czterdziestej dziewiątej sekundzie czwartej minuty rozmówcy „rozwodzą się nad historią, o której dwa lata wcześniej pisano w prasie: samobójstwem Marcelle P., lat 64, byłej **modelki** zatrudnionej u Jacques’a Fatha, która umarła z **głodu** we własnym paryskim mieszkaniu. Jej ciało odnaleziono dziesięć miesięcy później”.

To była ona!

TO BYŁA ONA!

Znalazłem ją!

Alleluja!

ALLELUJA!

Nie było bowiem żadnych wątpliwości. Daty się zgadzały. Notatki potwierdzały moje wspomnienia. WSZYSTKO PASOWAŁO! Nie mogłem w to uwierzyć. Nagle takie emocje! Po trzydziestu dwóch latach szukania w mroku w końcu światło! W końcu zbliżałem się do celu! W końcu dobre wieści!

Zwłaszcza treść pierwszego streszczenia zdawała się pochodzić prosto z mojej pamięci i tak, musiało chodzić o wysłuchany przeze mnie program rozpowszechniany w maju 1986 roku, musiało, tak, tak, chodzić o tego właśnie pisarza, mimo że nazwisko Alain Arnaud nic mi nie mówiło. Musiało chodzić o jego książkę: *Rue Championne* (Ulica Mistrzyni). Śmieszny tytuł. Czy to aluzja do opowiadania Kafki *Głodomór*, którego tytuł brzmi po francusku *Champion de jeûne*, dosłownie „Mistrz głodówki”? Ja też któregoś dnia skojarzyłem te dwie historie.

Przeczytałem obie notki jeszcze co najmniej dziesięć razy.

A więc nazywała się Marcelle P.

Zmarła w 1987 – 2 lata = 1985.

Faktycznie mieszkała w Paryżu.

Miała dzieci.

Pracowała jako modelka u Jacques’a Fatha (a nie u Jeana Patou!).

W chwili śmierci miała sześćdziesiąt cztery lata.

Jej zwłoki rzeczywiście odnaleziono dziesięć miesięcy później.

Niejaki Alain Arnaud w 1986 roku opublikował poświęconą jej książkę.

Nosiła tytuł *Rue Championne*.

Był to jakiś początek. Wspaniały początek. Pierwszy sznurek w skłębionej gmatwaninie. Nowy start w moim własnym życiu.

A więc jednak mi się to nie przyśniło. Ta kobieta naprawdę istniała. Nie była jakąś moją halucynacją. Na tym etapie siłą rzeczy niemal zwątpiłem już w jej istnienie. Mówiłem sobie, że może ją wymyśliłem. A tu w ciągu pięciu minut dowiedziałem się o niej więcej niż przez ostatnie trzydzieści dwa lata.

Dlaczego teraz?

Nie miałem pojęcia.

Zadałem sobie to pytanie.

Może to nie był przypadek.

Może był jakiś powód, który mi umykał.

A jednak co za ironia: kobieta zagłodziła się na śmierć, a trzeba było, bym wpadł na jej trop akurat w czasie uczty.

4.3

Podniecony do granic wszedłem na stronę INA, klikając link, który znajdował się w mejlu. Chciałem, nie tracąc ani sekundy, z żarłocznością narastającą od ponad trzech dekad, odsłuchać obu audycji, nasycić nimi uszy. Chciałem rzucić wszystko i raz na zawsze uspokoić sumienie, dlatego siedząc przed ekranem, czułem się równie rozgorączkowany jak młodzieniec przed pierwszą randką. Czekał mnie, naturalnie, okrutny zawód. Bo do bazy INA nie dało się zyskać dostępu! Należało nie tylko się zarejestrować i wypełnić formularz, ale też uściślić przedmiot swoich poszukiwań, opisać swoje kompetencje, udowodnić swoją tożsamość, wysłać prośbę, wskazać kogoś, kto mógłby za nas poświadczyć. Zanim zgłoszenie zostanie zatwierdzone, może upłynąć miesiąc, ostrzegała strona. Miesiąc! Tutaj słowo „frustracja” zapisane mocno pogrubioną czcionką, wielkimi literami. Czekałem jednak trzydzieści dwa lata, więc równie dobrze mogłem wytrzymać jeszcze miesiąc. W niektórych sprawach potrafię być bardzo cierpliwy. Bardzo wytrwały. Jestem zresztą z tą samą kobietą od ośmiu lat. I ja też umiem wystawać godzinami w zacinającym deszczu. Zdarza mi się nawet wierzyć, że dożyję co najmniej dwustu pięćdziesięciu lat. W chwilach, gdy piszę.